

## Magiczna prowincja odcinek 25

O matczynej trosce, wściekłym prezydencie i blond zdzirze...

Muszę chyba przyjąć do wiadomości, że rodzice chcą ze mną pomieszkiwać, jeśli nie zamieszkać. Rozgościli się na dobre!

Nie, nie jestem wyrodną, pozbawioną wszelkich uczuć córka, ale przez lata razem nie mieszkaliśmy i myśl, że wróciłam do układu sił z dzieciństwa trochę mnie uwierała. Może nawet bardziej niż trochę, jeśli chodzi o związek z Adamem, bo mama we wszystko się wtrącała i zawsze chciała mieć ostatnie słowo.

- Widocznie nie jestem dla ciebie na tyle ważna, by dowiedzieć się, że masz narzeczonego - oznajmiła mi w trakcie obiadu. - Ale skoro już to wiem, niestety z własnych obserwacji, to jako matka muszę ci poradzić, byś była ostrożna i tak się nie angażowała. Owszem, lubię Adama, to dobrze wychowany młody człowiek!

- Ale? Bo pewnie masz w zanadrzu jakieś ale?

- Nie ironizuj. To poważny temat. Rozumiem, że postanowiłaś spróbować czegoś innego i przeniosłaś się z wielkiego miasta, ale nie zostaniesz tu na zawsze. A jak z tego twojego pisania nie dasz rady utrzymać tego domu? Ile ten Adam w lokalnej gazecie zarabia? Co innego mógłby robić, by utrzymać rodzinę? On w ogóle jest stąd? Ma rodziców, rodzeństwo?

- To ma być jakieś przesłuchanie? A co z tobą i tatą? Pogodziliście się na dobre, czy będziecie się rozwodzić? - postanowiłam odbić piłeczkę.

- Dlaczego mielibyśmy się rozwodzić? Nie wtrącaj się zresztą. To nasza sprawa - zdenerwowała się matka.

- Dobrze, niech będzie, że to wasza sprawa. Tylko przyjmij do wiadomości, że moje życie i mój Adam to moja sprawa, nie twoja i nie taty.

Ojciec od początku tej dyskusji się nie odzywał, z chirurgiczną precyzją i skupieniem godnym sapera odkrawając kolejne kawałki kotleta. Matka postanowiła się na mnie obrazić, co wyraziła trzaskaniem garnami w kuchni. Trudno. Skoro mają tu pomieszkiwać, to nie dam jej wejść sobie na głowę. Jakieś granice muszą być! Nie będą wszyscy na mnie pohukiwać, wystarczy, że w ratuszu mam przerąbane na całego!

Prezydent po raz kolejny umówił notariusza. Wezwał mnie dziś do siebie i oznajmił, że uprzedzał już wcześniej, że mamy spisać notarialny akt na początku października, a dziś jest środa, 4 października i mam stawić się tam. I koniec. Bo pożałuję!

- Nie mogę! Dziś nie mogę - miało być stanowczo, a wyszło błagalnie i poszłam jeszcze dalej, postanawiając odmowę dobrze uzasadnić. - Dziś właśnie nie mogę. Złe się czuję, rodzice przyjechali, rura mi pękła i prąd nie działa. Armagedon po prostu.

I wyszłam. A prezydent za mną. Szłam sobie do swojego pokoju, on szedł za mną i coś tam się darł, że nie z nim takie numery, że coś ściemniam ale koniec już tej zabawy, jego za nos się nie wodzi i głupka z niego nie robi. Z pracy wylecę na zbity pysk i jeszcze w papierach mi narobi, że będę miała wilczy bilet. Wyobraźnia podsunęła mi obrazek, na którym prezydent usiłował wykonać pewną fizjologiczną czynność na moje osobowe akta, a za nim czaił się wyraźnie wściekły wilk z biletem w pysku!

Gdy wchodziłam do pokoju, prezydent nadal pokrzykiwał. Był na etapie, że mnie załatwi i już się mogę pakować, gdy nagle zniemacka umilkł. Wyrzałam zdziwiona. No tak, jasne. Przyszedł z wizytą miejscowy proboszcz. Poklepywał właśnie prezydenta po ramieniu. Serdecznie poklepywał. Walnąć powinien zdrowo! surowej pokucie nie wspominając.

Potem miałam już spokój, przynajmniej jeśli chodzi o prezydenta. Po proboszczu do ratusza przyszedł bowiem wuj, ten sam, co chciał kupić moją ziemię, po wujcie starosta ze starszym panem. Wyglądał jak mały święty Mikołaj, jak się okazało był to przewodniczący powiatowej rady. I też się serdecznie poklepywali, jak przyjaciele, a przecież w ratuszu mówiło się, że to polityczni wrogowie. Widać taka ta polityka jest!

I tego samego dnia przylazł do ratusza miejscowy Rockefeller, ten sam biznesmen, który przywiózł się do domu Zuzanny, by kupić gospodarstwo i kopnął bezczelnie mojego kota. Spotkałam go na korytarzu, jak wracał od prezydenta. I wiem, że mnie poznał.

- Tak słyszałam, że Piotr mnie uprzedził z tą ziemią - powiedział. Prezydent miał na imię Piotr. - Nie wiem, czy wybrała pani dobrą ofertę. Prezydent wcześniej czy później panią pogoni, naszarpie się pani, naużera, a ja dawałam wysoką ofertę - Nadal aktualna. Wiem, że prezydent jeszcze tej ziemi nie kupił -

- To dobrze, że pan wie - po przejściach z prezydentem odzyskałam już równowagę i postanowiłam zaryzykować. - Ja też wiem, że to pan mnie prześladowa, nasyła podglądaczy i dzwoni charcząc, o pożarze nie wspomnę i wypytywaniu o mnie w sklepie też. Ale ja się nie boję i zastraszyć się nie dam!

- Nie wiem, o czym pani mówi - oczy lokalnego Rockefellera zmieniły się w wąskie szpareczki. - Proszę lepiej uważać na słowa. Bo właśnie pani mnie pomawia, a to jest karalne.

Pan biznesmen odwrócił się i poszedł. A mogłam się nie wychylać i nie odkrywać kart. Ale trudno, mleko się wylało, już tego nie odwrócę. Wychodzę stąd. Wybiła właśnie 16.

Pod ratuszem stał prezydent w otoczeniu zagranicznej delegacji, która odwiedziła miasto. Pozowali do zdjęć dla mediów. Wśród dziennikarzy był Adaś i jak zwykle udawaliśmy, że się nie znamy. Mrugnął tylko do mnie znacząco. W skórzanej kurtce, dżinsach i białej koszulce wyglądał zjawiskowo. Jak model z okładek modowych gazet.

I chyba nie tylko ja tak uważałam!!! Do Adasia bowiem wyraźnie się kleiła blond zdzira!!! Długowłosa, długonoga i smukła zdzira -

Kobieta

rys.: Jacek Łukaszewski